

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę.
Kosztuje rocznie 4 kor
półrocznie 2 kor.
Numer pojedynczy kosztuje
20 hal.
Listów nieopłaconych nie
przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej
dla ubogich prenumeratorów
„Obrony Ludu” jest otwarte
codziennie rano i popołudniu.
Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcyja i administracyja
znajduje się w Krakowie
ul. Pijarska 1. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wier-
sza półszpaltowego.
Wszystkie listy i pieniądze
przesyłać należy pod adre-
sem: Administracyja „Obro-
ny ludu”, Kraków, ul. Pi-
jarska 1. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSZTUS!

Upraszamy naszych Czytelników o przysyłanie prenumeraty za rok następny 1903. Musimy bowiem wiedzieć, kto chce dalej czytywać „Obronę ludu” i komu ją w roku przyszłym mamy posyłać.

Pieniądze należy posyłać pod adresem: Admini-
stracyja „Obrony ludu” w Krakowie, ulica Pijarska
Nr. 2.

WIGILJA.

Dziś dzień wigilijny. O pójǳcie tu razem
Wy, którym to życie nie po różach płynie,
Pójǳcie tu ze słodkim na licach wyrazem,
Bo dzień ten jest waszym, o, waszym jedynie!

Bo w nocy dziś chwila nastąpi ta święta,
Co chyba najśłodsza z dni roku jest chwilą:
Małeńki Jezusek wyciągnie rączęta,
Ubodzy i smutni do stóp mu się schylą!

Wesołych świąt

życzymy wszystkim naszym Przyjaciołom, Czytelnikom i zwolennikom. Daj Boże zdrowia wszystkim, daj Boże chleba, daj Boże pokój w domu, powodzenie w gospodarstwie i w pracy; daj Boże błogosławieństwa. Niech wróg trzyma się zdale, zły człowiek niech przepada — wódka i karczma niech zczeźnie — niech trzeźwość, dobrobyt i dobra wola zawita pod strzechy. Pokój ludziom dobrej woli!

Redakcya.

OPŁATKI.

Aż gdzieś w północnej Ameryce w zimnym takim kraju, gdzie straszne mrozy panują podczas zimy, garstka naszych przybyła szukać chleba. Chleba dla pokrzepienia ciała dosyć znaleźli, choć niespełna rok, jak w te strony przybyli, ale chleba duchowego brakło im zupełnie. A pragnęli, a łaknęli tego chleba Bożego, tych pociech duchowych niezmiernie! Zwłaszcza, gdy nadeszły święta uroczyste — schodzili się wtedy jedni do drugich i, wzdychając, wspominali te czasy, kiedy się jeszcze znajdowali w kraju, od którego dzielą ich teraz góry, rzeki niezliczone i wielki niezmierny ocean, wielkie morze.

Najbardziej wzdychała staruszka Sikorzyna, którą wszyscy babcią nazywali. Ale miała też ona swego rodzonego wnuczka Wojcieszka, którego ogromnie kochała i za którym pojechała na kraj świata. Chłopczyna był jeszcze młodziuteński. Trzynastka mu nie minęła, kiedy w świat wyruszyli. Ojcowie zabrali Wojcieszka, a babci serce mało nie pękło z bólu, więc sprzedała swoją chudobę i także pojechała do Ameryki.

I oto teraz na wnuczka stare jej oczy patrzą, oto go ma przy sercu swoim kochającym i czemuż te oczy łzami zachodzą? czemuż to serce ból okrutny uciska? Babcia tęskni za swoją wioską rodzinną, gdzie małą dzieciną bujała, gdzie się rozlegały jej piosnki dziewczęce.

Babci miło opowiadać o swojej wiosce, o swoich młodych latach. Wojcieszek wie o tem — i wyciąga na słówka i słucha pilnie jej gadek. Niech się tam ucieszy staruszka!

Lecz oto zbliżają się Godne święta, Wojcieszek widzi, że babcia stała się jakaś milcząca i cicha, a ukradkiem coraz łezkę po łezce ociera. Mój Boże! toć koniec fartucha już mokry, że tylko wyżyć!

— Babciu, babuniu, co wam to, powiedzcie?

— Nic, dziecko, nic, nie pytaj, bo na to rady niema.

— Wiem ja, wiem, że nic nie poradzę, ale powiedzcie, babciu, to wam ulży nieco.

Babcia nie chce mówić, milczy; ale chłopak tak na nią spogląda żałośnie, że jak wosk zmiękła nieboga: przycisnęła tylko jeszcze raz do oczu koniec fartucha i mówi pełnym łez głosem:

— Co tu za świat, co tu za świat! niech Bóg jedyny uchowa! Już mniejsza o to, że chleb tutejszy smaku żadnego niema, woda niby słona, niby słodka, że aż człowieka mdłości biorą, kiedy napić się musi — Jezusie Cudowny, toć myśmy mieszkali we wsi kościelnej; co dnia o świcie na jutrznią, a wieczorem na Anioł Pański dzwoniło, i choćbyś był nie wiem przy jakiej robocie, toś się musiał oderwać, a dusza szła do nieba. A w niedzielę, a w każde święto człowiek ustroił się, jak mógł, przystojnie i szedł do kościoła toć bez mała pół dnia tam spędzałam, godzinki, suma, a potem i nieszpory. Przecie pamiętasz, Wojteczku, że ja ze Szymonem Borowym pierwszy głos trzymałam. A tutaj w tej pustyni, to nie tylko dzwonów nigdy nie słyszę i kościoła ani duchownej osoby nie widzę na oczy moje, ale nawet u świętej spowiedzi nie bywam... Boże, bądź miłościw grzesznej duszy mojej i podnosząc ku niebu załzawione oczy, biła się w piersi staruszka.

— Ot, i teraz — mówiła dalej — za dwa tygodnie Gody, Narodzenie Boskie, a my ani w kościele nie będziemy, ani nawet żdziebelka opłatka znikąd nie dostaniemy.

Tu staruszka zamilkła, pogrążona w zadumie, Wojtaszek jej przerywał, bo i sam zamyślił się srodze. Przed oczyma jego jak żywe stały dawno widziane obrazy: Wieczera wigilijna z opłatkiem na obrusie, gwiazdka, którą on nosił z chłopkami od chaty do chaty, śpiewając kolędy, wewnątrz kościoła jasne od mnóstwa świec żarzących się, poważne dźwięki organów i wtórujące głosy ludu, który szerokim łanem siał się do stóp ołtarza:

»Bóg się rodzi!...«

Zdaje się, że słyszy ten śpiew z kilkuset piersi wychodzący i ogarnął go żal i rzewność wielka. Oj, nie dziwota, że babka tęskni w obcym kraju, bo i on choć jeszcze młody, ma ciężar na duszy i tęskność wielką...

Przycisnął do ust małą, pomarszczoną a spracowaną rękę babci, a gdy ona go w głowę całowała, czuł na czole swem dwie łzy gorące.

Zdawało się Wojcieszce, że te łzy nie tylko na czoło, ale i na serce padały i wielka chęć w nim powstała, aby uradować czem, ucieszyć tę dobrą, biedną babcię.

Pragnął chociaż zdobyć opłatki, żeby było się czem przełamać w wieczór wigilijny.

Słyszał kiedyś Wojcieszek, że w jakimś mieście bardzo dalekiem jest ksiądz i kościół katolicki. Gdyby tam pojechać, gdyby przywieść na wigilję opłatków...

Chęć jest dużo, ale czy będą siły?

A no, trzeba próbować.

Zaczął od tego, że wypytywał ludzi. Święta to prawda, że każda droga na końcu języka. Język doprowadził Wojcieszka tam, dokąd chciał. Więc najpierw ludzie mu wskazali drogę do wielkiego jeziora, po którym statki parowe chodzą i podwożą ludzi do samego wielkiego miasta, gdzie jest kościół i ksiądz. Dowiedział się nadto, że ów ksiądz nie tylko jest katolickim, ale nawet polskim

księdzem i w tem wielkie było szczęście, bo gdyby to był francuz, albo włos, jakżeby mógł z nim się rozmówić?

Na parę dni przed Świętami Wojcieszek pożegnał się z ojcem i babcią i wyruszył w drogę. Miał trochę grosza, więc jechał w wielkiej budzie wraz z wielu innymi podróżnymi. Niewygodne miał miejsce, siedział koło woźnicy, na kuferku któregoś towarzysza podróży, a mróz pomimo kożucha i ciepłych butów, dokuczał mu nieraz siarczyście.

Po przybyciu do jeziora, dowiedział się, że statki już po niem nie chodzą. Jakżeby chodzić miały, kiedy mróz pokrył całe jezioro grubą warstwą lodu. Z budy więc przesiadł do niewielkich sanek i po lodowej szybie pomknął, jak wichher, tylko migały się wiechy, któremi droga była wytknięta.

W mieście nie bawił długo. Tylko tyle co nazajutrz odbył spowiedź, wysłuchał Mszy świętej, rozmówił się z proboszczem, od którego otrzymał przyrzeczenie, że w niedługim czasie odwiedzi ich kolonję, aby udzielić Chleba Żywota jej mieszkańcom — a zabrawszy w zanadrze kilkanaście paczek opłatków wyruszył z powrotem.

*

*

*

Dzień wigilijny zaświtał. W kolonji polskiej krzątano się pośpiesznie. Należało przystroić mieszkanka i przygotować wieczerzę, aby zasiąść do niej, gdy pierwsza gwiazdka zabłyśnie.

Wojcieszek obleciał wszystkich kolonistów, obdarzając ich opłatkami. Ileż podziękowań, ileż uścisków za to otrzymał!

Ale już jasne słońko, jakby lekką mgłą się odziało, zaczerwieniło się, jak płomień i pokryło czerwienią zachodnią stronę nieba i jaskrawą białosć śniegu na wzgórzach — trzeba co rychlej wracać do chaty, babci nieść pomoc w robocie.

Stół, sianem potrząśnięty, czystym obrusem zasłano, a na samym środku stołu na niebieskim w kwiaty talerzyku bieli się opłatek. Gdy pierwsza gwiazda mrugnęła na niebie postawiono na stół dymiącą misę. Ojciec, wzięwszy opłatek do ręki, podszedł z nim do babci. Uścisnęli się, a babci, jak perły, łzy kapią z oczu, ale to nie! bo to są łzy wesole, bo uśmiech osiadł na ustach babci i całą twarz rozpromienił. Wnuczka swego kochanego przycisnęła do piersi, z objęć babci dostał się w ramiona ojca, ściskają go oboje i błogosławią, już nie tylko za to, że im radość przyniósł w zmartwieniu, ale także dlatego, że jest dobry kochający.

— Niech Bóg cię błogosławi, dziecko moje najmilsze, niech ci pozwoli wrócić do ojcowizny. Kości moje tu złożysz, ale sam powróć...

Na stole był barszcz i śledź z kartoflami, i kluski z makiem, i gotowane gruszki ze śliwkami. Niczego nie brakowało, jak tam daleko, w Wólce.

Po wieczerzy babcia wyjęła kantyczki i cieniutkim drżącym głosem śpiewała po kolei i »W żłobie leży« i »Anioł pasterzom mówił« i »Bóg się rodzi«. Gospodarz wtórował jej grubym basem, a Wojcieszek dopomagał swoim dźwięcznym, jak dzwonek, młodym głosem.

Potem to już Wojcieszek wyjął z kuferka wielką złocistą gwiazdę, i osadził ją na kiju i poszedł obchodzić chaty z gwiazdą »Trójkrołową«. Gdy zastukał w okienko, wychodzili do niego wszyscy, a młodzież łączyła się i szli gromadnie do innych chat. Tak w kółko wszystkie obeszli i stanęli przed Wojcieszkową chatą. Tu już na oścież drzwi się otwarły i wpuściły wielką gromadę miłych gości.

Łamano się opłatkami, życząc nawzajem wszelkiego dobra, a nadewszystko powrotu do kraju. Potem poszły rozmowy o minionych czasach, o dalekich, a drogich stronach. Szły pieśni za pieśniami, kolędy za kolędami, aż budziły echa po odwiecznych pustyniach amerykańskich:

W żłobie leży, któż pobieży,
Kolędować małemu,
Jezusowi Chrystusowi
Dziś nam narodzonemu?

Ubodzy was to spotkało, witać Go przed bogaczami.

Matus Karbowiak wyszedł z lasu z pękiem chrustu...

Spojrzał po niebie.

Zmierzch się zrobił na dobre, gwiazd jeno patrzeć. Westchnął, poprawił wiązki i, przygarbiwszy się, ruszył szybciej ku stojącej na »pustce« chałupie.

Szedł, postękiwał, a szedł... tylko im bliżej chałupy, tym mu ciężej na sercu było.

Ale szedł.

Z chałupki niskiej, prawie zakłąśniętej w ziemię, migotało nagle światelko, a za niską chatą o staj kilkanaście cały rząd małych światełek, z mocniejszym odbłaskiem pośrodku.

Wieś i dwór pośrodku.

Matus spojrzał ku wsi, ku dworowi, coś, jak żal zaświeciło mu w oczach... Przystanął i szepnął:

— U takiego Szymka to tam dzisiaj będzie różności! i pieczone i warzone. Brali i cukier, i migdały, i czystą mąkę od Berka. A człowiek... Et!

Westchnął i znów ruszył pochylony ku ziemi. Gałązki sękatę ściętej choiny gniotły go przez cienką sukmaninę, więc wiązkę z ramienia na ramię przekładał i szedł wzdychając.

Już pod samą chałupą obejrzał się raz jeszcze na rozciągającą się opodal wieś, dziś świecącą małemi szybkami i westchnął głęboko:

— Tam wszyscy w kupie, tylko człek niby nieswój na pustkowiu.

Rzucił pęk chrustu przed progiem izby i wszedł do środka.

Na kominie tlił się ogień, z dwóch żelazniaków buchała para gotowanej warzy... Czworu małych dzieci grzało bosc nożętą, oparl-

szy stopki o popielnik. Matusowa mieszała drewnianą łyżką barszcz zurowinowy.

— Dobrze, żeś przyszedł, — zagadnęła, nie przerywając sobie roboty — bo już ziemniaki dochodzą.

Matus nie odrzekł słowa, tylko zasiadł na ławie pod oknem i zaszepiony zapatrzył się w przestrzeń.

We wsi robiło się coraz jaśniej... Chaty, jakby bieleły coraz więcej, coraz wyraźniej zarysowywały się i pojedyncze budynki i zagrody całe. Przybywało światła więcej i więcej, a z dworu bił odblask, jak z latarni.

— Takim to dobrze — mruknął znowu z goryczą.

— O czym tak dumasz ociec? — spytała kobieta.

Matus oderwał wzrok od przestrzeni, spojrzał po izbie, ale nie odezwał się, tylko westchnął.

— Gwiazd jeno patrzeć, — zaczęła znowu. — Będziem mieli barszcz z grzybami, kluski na oleju, kapustę ze śledziem; to się dobrze trafiło: same ikrzaki! Spójrzj!

Wydobyła z grubego papieru jednego i pokazała, podnosząc ku kominowi i światłu.

Chłop milczał.

— Pudź sam! Pomożesz stół zastawić... Dzieciom się jeść chce. Trza dawać...

Chłop wstał leniwo z ławy i zaczął ścierać połą sukmany zwykły, z sosnowych desek stół.

— A masz co kłaść? — spytała znowu.

— A bo co?

— Trza nakłaść na stół czego zwyczaj...

— Co mi tam zwyczaj! nam się to nie godzi robić... Te dwie morgi piasku! to i zwyczaj nie pomoże.

Kobieta wzruszyła ramionami i jęła ustawiać miski na stole. Grzejące się przy kominie dzieci podeszły bliżej, wlepiły niebieskie ślipki w matkę.

Matus wrócił do okna i zapatrzył się znowu.

— Gwiazdy są — mruknął po chwili.

— I wieczera gotowa — odrzekła kobieta, podsuwając wiązkę siana pod miskę barszczu. — Siadaj ojcie! siadajta dzieci...

Zrobiła znak Krzyża świętego na piersiach i wziąwszy z półki owinięte w szmaty opłatki, podniosła ku mężowi:

— No, stary... Żeby nam Bóg Najwyższy dał...

Matusowi zaświeciło w żrenicach...

— Żeby Bóg Najwyższy odmienił... bo ciężko.

Ucałowali się, potem dzieci kolejno.

Niebawem jęły brzęczeć blaszane łyżki.

— Jedzcie dzieci — zachwalała Matusowa — barszcz dobry, olej słonecznikowy...

Czwórka dzieciaków zawijała na wyścigi.

— Coś ty mi dzisiaj taki nijaki? — zagadnęła po chwili.

— A cóż to człowiekowi raj? — mruknął.

— Chwalić Pana Boga, wieczera niczego.

- Ej!... do dworu co ci wczoraj pełne dłubanki ryb nałowili, dodał po chwili.
- Niech im będzie na zdrowie! — rzuciła.
- U Szymków to aż woń z chałupy idzie, tyle nawiózł różności od Berka na święta.
- Stać ich na to — wtrąciła, dolewając na miskę barszczu. Chłop zamilkł.
- Co tobie Matus dzisiaj? — spytała znowu po chwili. — Toć wigilja, dzień radosny.
- Komu radość, komu smutek, — przerwał. — Jakem dzisiaj rano zaszedł do wsi, jakem zobaczył, jak to u ludzi, jakem pomyślał o naszej biedzie, to powiadam ci matka, że mi...
- Nie bluźnij! nie szemrzyj doli... Tak Pan Jezus zrządził i tak jest...
- Mamo klusek! — odezwał się najmłodszy czteroletni Józiek. Wysypała na czystą miskę z garnka kluski kładzione, smakowite, a duże, jak pięście.
- Nagle pies w sieni zaszczeakał.
- Ktoś idzie! — odezwał się Matus, wstając z ławy z zamiarem wyjścia na dwór.
- Pies zaszczeakał głośniej.
- Ktoś idzie...
- Zakołatał skobel i na zewnątrz rozległ się przytłumiony głos:
- Otwórzcie, Matusie.
- Drzwi się otwarły. Do izby wszedł mężczyzna ubrany w stare podarte palto, wychudły, jakby drżący na całym ciele od zimna i stanął w progu...
- Nie poznajecie mnie Matusie?
- Nie baczę, odezwał się zapytany, przypatrując się uważnie.
- A wy Matusowa?
- Coś mi się zdaje, ale nie...
- Walek jestem! Walek...
- Grzędziak? — wybuchnęli Matusowie.
- Ja sam...
- A toć gadali, żeś panem zostałeś... w Ameryce! i wracasz? Przybyły westchnął.
- Bieda mię przygnała... i tęsknica! Chorym...
- Siadaj-że, siadaj! — zawołała Matusowa, podsuwając mu ławę...
- Myślałem, że już nie dojdę... a ślubowałem sobie koniecznie do swoich na święta zdążyć.
- Siadł i powiódł zapadłemi oczyma po izbie po kątach, po stole, po wszystkim. Łzy mu spływały ciurkiem.
- Mój Ty Boże! u was i barszcz, i kluski, i chlebuś widzę biały! i opłatek święty...
- Ryknął płaczem.
- Jedz-że, jedz chudzino, a gadaj... jak było...
- Oj nateralem się! nateralem... — westchnął...
- A gadali, że tam takie bogactwo.
- Bodaj ten z piekła nie wyrżał...

Zaczął jeść chciwie, ale po chwili położył łyżkę...

— Nie mogę... Zasyciło mię...

— Gadajże! gadaj...

— Co tu gadać... Juścić i tam zarobić można, ale nim się zarobek znajdzie, to człek nieraz głodem i chłodem przymrze... A zresztą... — Westchnął głęboko.

— Bez swoich cni się życie! aż dusza płacze... Choćbyś był, jak kamień, nie wytrzymasz... Będiesz się mocował tydzień, dwa, miesiąc, aż wreszcie złamie cię, jak chabinę... Co spojrzysz na słońko, co gwiazdy zobaczysz... tobyś rwał przed siebie... O »proszonem« szedłem z Bremy.

— Jedz-że, jedz mizeraku! — zapraszali Matusowie.

Ale Walek jeno małowiele klusek tknął i znowu łyżkę odłożył.

— A co tu we wsi słyhać? — zaczął po chwili. — Jak się ma Kasper, Szymon?

Na wzmiankę o Szymonie, Matus rzucił okiem ku oknu, i jakby się zawstydził samego siebie, zwiesił głowę.

— Biednyś ty, Waluś — zapoczęła przy śledziu Matusowa.

Oj! biedny! biedny! Gospodarkę sterałem dla tej Ameryki, a teraz to mi nijak nawet ludziom świecić w oczy. Chciałem iść prosto do nich... ale... mię wstyd ogarnął. A jakim ujrzał waszą chałupę to i...

— To co?

— To mię coś jakby pechnęło ku drzwiom.

— Jedz-że, jedz...

— Bóg zapłać!...

Przestali gwarzyć na moment.

— A na »pasterkę« idziecie? — spytał po niejakej chwili Walek.

— Jakżeby nie?!

— To i ja z wami! Jezusowi się pokłonić, że mię powrócił znowu tutaj... że...

Głos mu zamarł w gardle.

A gwiazd tymczasem na niebie przybywało i przybywało. Świeciły, złote jarzyły się nad dolą ludzką, migotały w nocy Chrystusową.

Po trochu i ludzie zaczęli się poruszać [po drodze ku kościołowi wiodącej.

Okolo północy cały kościół był pełny. W ławkach przy wielkim ołtarzu siedział dziedzic z dziedziczką i inna szlachta. Przed ołtarzem klęczało bractwo ze świecami — co przedniejsi gospodarze-bogacze. Więc Szymon, Kasper, Wawrzyniec z nad stoku. A dalej kobiety, dzieci, dziewczuchy, tłum, gdzie komu padło.

Pod organami, na samym końcu klęczeli Matusowie z Walkiem.

Światło wypełniało dom Boży... i szept modlitwy.

Matus spojrzał przed siebie, zobaczył dziedzica... Szymka... bogaczy...

Spojrzał...

Aż tu z chóru, a potem z całej nawy zaczęły lecieć pieśni...

W żłobie leży
Któż pobieży..

A potem:

Wesoła nowina!
Panna rodzi Syna!

Matus coś śpiewać nie może... ale patrzy...
Przed nim dziedzic... Szymek... bogacze...
Aż tu jak nie hukną z chóru:

Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony!

Ludzie zaczęli płakać... śpiewając...
Matus jeszcze patrzy... przed nim dziedzic... Szymon... bogacze...
Nagle jak nie wybuchnie płaczem! jak się zacznie bić w piersi...
Z chóru leci:

Ubodzy was to spotkało
Witać Go przed bogaczami...

Matus chce śpiewać, a nie może., Już nie patrzy przed siebie,
tylko łzawą twarzą legnie do zimnej posadzki i szepcze:

— Panie Jezu! przepuść! Panie Jezu daruj!

I prosi, i chce, i modli się o bogactwo dla innych i dla dzie-
dzica i dla Szymka...

Już jeno Walkową dolę czuje przed duszą, a na ustach ma
pacierz dziękczynny, gorący, rzewny.

Już nie chce prócz swej »pustki«, swej chałupiny, już
kontent ze wszystkiego...

Wśród lodów północy i lasów południa.

Trudno było nie posłuchać takiej przestrogi, tem bardziej, że
stary wyga morski napewno byłby nas kazał wrzucić do wody
gdyby z naszej winy wieloryb umknął.

— Ostro, naprzód! — wołał półgłosem Marcin, — płynąć pro-
sto, nie zatrzymując się. Baczność!!

Stał teraz na przodzie łódki, wygięty w tył; lewą rękę wy-
ciągnął naprzód, prawą podniósł w górę, ściskając ostry harpun.
Zaiskrzonemi oczyma śledził on ruchy wieloryba, wyczekując chwili,
kiedy będzie mógł puścić swój groźny oręż. Nagle harpun, wyrzu-
cony wprawną ręką starego, zaświszczał w powietrzu i uderzył
ostrzem głęboko w olbrzymie ciało wieloryba... W tej chwili łódka
cofnęła się w tył, rozległ się straszny plusk, podobny do grzmotu,
otoczyła nas chmura pyłu wodnego — i, kiedy ze strzelbą przy-
gotowaną zacząłem szukać wieloryba, nie było go już na powierz-
chni wody.

Z zadziwieniem spojrzałem na Marcina, lecz widok jego uspo-

koil mnie zupełnie. Ogorzała twarz starego wielorybnika jaśniała zachwytem, potężnym głosem wydawał rozkazy:

— Puszcząć linę! Łać wodę, bo zagrzeje się! Do wiosel! Płynąć ze wszystkich sił!

Jan polewał linę, odkręcającą się gwałtownie z kołowrotka; a łódź ciągniona przez wieloryba, w którego ciele tkwił uwiązany do liny harpun, posuwała się szybkością błyskawicy.

— Hurra!! otóż jest! — krzyczał Marcin, widząc wynurzające się przed nami z pod wody po kilku minutach czarne cielsko ranionego olbrzyma. — Wiedziałem, że nie spudłowałem!

Wieloryb chrapał i jęczał, wyrzucając przez nozdrza smugi wody, zmieszanej z krwią. Ogonem tak silnie uderzał po morzu, że każde uderzenie rozlegało się, jak wystrzał armatni. Strach przejmował, gdy się patrzyło na te szalone ruchy! Po chwili zanurzył się znowu pod wodę...

— Tylko rozważnie chłopcy! — wołał Marcin, widząc, jak zaniepokojeni majtkowie rzucili się znowu do wiosel. — Już on nasz; niezadługo będzie po nim. Żywo odkręcać linę! a polewać wciąż bo się zapali. Płynąć na prawo! Teraz prosto! Ot, znowu jest!...

O sto kroków od nas wieloryb wysunął się znowu z wody dla zaczerpnięcia powietrza.

— Bliżej chłopcy, bliżej! Dzidy do rąk!! Dwa trzy uderzenia i będzie koniec. A wy, myśliwi, — rzekł do nas ze złośliwym uśmiechem — możecie sobie teraz strzelać do niego, ile wam się podoba.

Wieloryb leżał dość spokojnie, tylko niekiedy gwałtownym drganiem swego cielska bałwanil wodę.

— Śmiało naprzód! — krzyczał wciąż Marcin. — Podjechać pod bok, tylko bliżej głowy. Niechby chlapnął naszą łódkę ogonem, to niebyłoby co zbierać z nas i z naszej łodzi! Baczność! Kłucć dzidami!

Łódki zbliżyły się o tyle do umierającego wieloryba, że łatwo było dostać go długimi dzidami. Leżał on spokojnie, nieco na boku, a wielka głowa jego z małemi oczami akurat znalazła się wprost mojej strzelby. Bezwiednie prawie zmierzyłem w samo oko i wypaliłem... W tej chwili rozległ się huk od uderzenia ogonem wieloryba o wodę, morze zabałwanilo się, łódź przechyliła się gwałtownie — a ja o mało nie wpadłem do wody.

— Do stu piorunów! co pan wyrabiasz? — krzyczał Marcin. Byłbyś pan nas wyprawił na dno morza na obiad rekinom...¹⁾ Gdzież wieloryb?

Wieloryb zniknął... Przeraziłem się sam, myśląc, że go spłoszył na zawsze, że zerwał się może z harpunem i uciekł — gdy w tem ukazał się na powierzchni, wywrócony do góry białym brzuchem...

— Jest, jest! — krzyknąłem i o mało nie wyskoczyłem z łódki, zapomniawszy, że to nieając, do którego można biedz po strzale.

¹⁾ Rekin — ryba morska, na 10 łokci długa, z szeroką paszczą i dużemi zębami. Jest postrachem wszystkich zwierząt morskich; pożera też nieraz ludzi, pływających lub wpadłych w morze. Stąd nazywa się on inaczej: Żarłacz ludojad.

— Wielka sztuka! — mrucał na pół gniewnie stary. — Raz trafi, a sto razy nie! Na wieloryby, mój panie, poluje się z harpunem i dzidą, a nie ze strzelbą. To nie zając ani kuropatwa! Ale strzał był tęgi. Gdzie pan mierzył?

— W oko, w samo oko!

— Ba! to nic dziwnego, że został na miejscu. No, ale do roboty chłopaki. Trzeba go porządnie zahaczyć i marsz do okrętu... Ależ to kapitan się ucieszy. Patrz pan: z tej poczwary samego tranu będzie ze sto dwadzieścia beczek.

Ciągnąc za sobą wieloryba, zbliżaliśmy się powoli ku statkowi, który zatrzymał się, zarzuciwszy kotwicę¹⁾ niedaleko brzegu. Wyciągnęliśmy wieloryba na mieliznę i zaraz zaczęło się płatanie zdobyczy.

Trzeba się było pospieszać z robotą, gdyż, — jak mówił kapitan — na drugi dzień ciało wieloryba już zaczęłoby się psuć i smród byłby nie do wytrzymania.

Z największą ciekawością przyglądałem się teraz zabitemu olbrzymowi. Rzeczywiście miał on do czterdziestu łokci długości. Głowę miał ogromną, ale oczy nie większe jak u wołu, a uszy małe, niewidoczne i kłapami zamknięte. Cały skład ciała miał on dziwnie podobny do ryby, chociaż jest to zwierzę ssące; wydaje bowiem na świat dziecko żywe i karmi je mlekiem, tak samo jak pies, albo kot. Na przodzie ciała z boku miał dwie nogi pletwiaste, na cztery łokcie długie; z tyłu nie miał nóg żadnych, a tylko ogon, jak u ryby, ale szeroki na jakie dziesięć łokci. W paszczy zwieszały mu się z górnej szczęki zamiast zębów dwa szeregi długich blach fiszbinowych. Każdy fiszbin jest to rogowa blacha, giętka jak sprężyna; jest ona długą do pięciu łokci. Blachy te zestawione jedna przy drugiej, tworzą jakby sito na brzegu paszczy wieloryba; przez to sito woda z paszczy wypływa, ale pochwycone razem z nią zwierzątka zostają w paszczy i służą za pokarm wielorybowi. Dziwna rzecz, iż pomimo ogromnej wielkości — zwierzę ten ma gardziel tak mały, że ledwo śledzia mógłby od razu połknąć. Gruba, naga skóra wieloryba lśniła się na słońcu od przenikającego ją tłuszczu. Na skórze przyczepionych było tysiące muszli i innych zwierzątek morskich, które tam obrały sobie mieszkanie.

Nie było czasu dłużej przypatrywać się temu olbrzymowi, bo już majtkowie zabrali się do krajania. Najpierw na wysokim maszcie założono mocny krążek, przez który przeciągnięto linę. Lina na jednym końcu miała duży hak, a drugim przymocowana do korby. Była to więc winda. Spuściwszy koniec liny z hakiem za brzeg okrętu, zaczepiono hakiem za głowę wieloryba, a tak uniesiono go w górę. Teraz zaczęto oddzielanie głowy. Długimi nożami krajano póty, póki ogromnego łba nie odcięto. Późem łeb został wciągnięty na pokład; tam zabrano się zaraz do krajania

¹⁾ Kotwica — wielki i ciężki hak żelazny o czterech zębach. Jest on przymocowany na linie do okrętu i zarzuca się na dno morza, gdy trzeba zatrzymać okręt na miejscu.

go, wycięcia fiszbinów i języka. Ależ co to był za język! Długi był na osiem łokci, ważył około 800 funtów, a cały był przesiąknięty tłuszczem. Same fiszbiny ważyły — jak się okazało potem — trzy tysiące funtów!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Straszne przygody rozbitków na morzu.

We czwartek, dnia 20-go listopada r. b., krążownik angielski »Penguin«, płynąc opodal brzegów wysp Aucklandzkich, ujrzał na pełnem morzu kołysany przez fale przedmiot jakiś, w którym przez lunetę rozpoznano tratwę, a na niej postacie ludzkie. Niebawem już gołem okiem rozpoznać było można ośmiu ludzi, leżących na wątlých deskach. Spuszczono łódź na morze, żaden jednak z rozbitków nie dawał znaku życia. Dopiero, gdy łódź popłynęła tuż do tratwy, jeden z ludzi powstał i skoczył do morza. Rzucono mu pas ratunkowy, nieszczęśliwy jednak nie uchwycił go, widocznie pod wpływem obłędu i, głośno śpiewając hymn religijny, znikł w głębinach morskich.

Zająto się ratunkiem pozostałych siedmiu. Byli tak strasznie wycieńczeni, że o własnych siłach powstać nie mogli. Skurczeni, wychudli, z rękami i twarzami poczerniałemi i popękanemi do krwi, skutkiem działania słońca i wody morskiej, spoglądali obłąkanym wzrokiem na swych wybawców.

Z trudem przeniesiono ich na łódkę, a następnie na pokład »Penguinu«. Tam, dzięki staraniom lekarza okrętowego i gorliwej opiece, przyszli z wolna do siebie i opowiedzieli straszne dzieje pięciodniowych cierpień na niewielkiej tratwie, wśród wzburzonych fal oceanu.

Stanowili część załogi parowca angielskiego »Elingamite«, dążącego do Nowej Zelandyi. Rano dnia 16-go listopada, wśród straszliwej burzy, woda zaczęła przedzierać się do wnętrza parowca. Wszelkie próby wypompowania jej nie przyniosły pożądaných wyników, zalewała kadłub coraz bardziej, »Elingamite« tonął. Kapitan rozkazał przeto opuścić jak najspieszniej parowiec, burza wszakże pozrywała i uniosła wszystkie łodzie ratunkowe, prócz jednej łodzi. Do łodzi tej zmieściło się 40 ludzi z kapitanem, reszta, w tej liczbie 15 mężczyzn i jedna kobieta, szukali ocalenia na tratwie, sklejonej z desek i próżnych beczek. Parowiec pogrążał się coraz szybciej w falach morskich. W zamieszaniu, jakie stąd wynikło, zapomniano o zapasach żywności i wody.

Nieszczęśliwi rozbitkowie odbili od tonącego okrętu w chwili, gdy znikał już pod powierzchnią wody. Niebawem stracili też z oczu łódkę z resztą załogi.

Tratwa mierzyła zaledwie 12 stóp długości i 7 szerokości, to też panował na niej ścisk okropny. Co gorzej, pod ciężarem rozbitków, zanurzała się tak w wodzie, że wcale widać jej nie było. Nieszczęśliwi więc nie mogli ani położyć się, ani przysiąść, a każda fala zalewała ich zupełnie.

Pomimo tak okropnych warunków postanowili dopłynąć do widniejących na widnokręgu skalistych wysepek Trzech Króli. Niestety, pod naciskiem fal i rąk, gorączkowo pracujących, pękło jedno wiosło! I oto garść biedaków pozostała na łasce rozszałego żywiołu. Na domiar złego głód i pragnienie dokuczały straszliwie. Skrupulatne poszukiwania wszystkich kieszeni wykazało, że cały zapas żywności rozbitków stanowią — dwa jabłka.

»Elingamite« zatonął w niedzielę zrana. W poniedziałek ujrzano zdała jakiś parowiec. Nadzieja zapanowała w sercach rozbitków. Dla zwrócenia uwagi krzyczeli, ile im sił starczyło, i dawali znaki, napróżno jednak, okręt znikł na widnokręgu, nie spostrzegłszy trawy.

Tego samego dnia podzielono jedno jabłko na 16 części. — Każdy z rozbitków otrzymał jedną cząstkę. Cóż to znaczyło! Zaczęły się męki nie do opisania pod wpływem zwłaszcza pragnienia.

Wieczorem trzech ludzi skołało. Ciała ich pozostawiono na tratwie w nadziei prędkiego ratunku, gdy jednak pomoc nie nadchodziła, a ciała zaczęły ulegać rozkładowi, wrzucono je do morza. We wtorek nastąpił podział drugiego jabłka. — Z głodu rwano na sztuki ubrania i żuto.

Męki pragnienia wzmogły się do tego stopnia, że rozbitkowie otwierali sobie nawzajem żyły na rękach i wysysali krew chciwie. Gdy który z nich operacyi tej poddać się nie chciał, czyhano, aby zasnął znużony, przecinano mu wówczas żyłę i pito krew śpiącego.

Pomimo tego strasznego sposobu ulgi, trzech marynarzy, nie mogąc wytrzymać dłużej mąk pragnienia, napiło się wody morskiej, poczem w przystępie szału skoczyło w fale i utonęło.

We środę zrana znów skołał jeden z marynarzy. Ciało wrzucono do morza.

Jedyna, kobieta na tratwie, wytrzymała mężnie okropne męki do czwartku zrana. W dniu tym jednak siły opuściły ją do reszty I ona znalazła grób w morzu. Jak przypuszczają, zbytni ubytek krwi, wyssanej przez towarzyszków niedoli, był ostateczną przyczyną jej śmierci.

We czartek po południu ujrzano znów parowiec. Był to »Penguin«. Zaden jednak z rozbitków nie miał siły dostatecznej, by podnieść choćby rękę. Leżeli więcej do strasznych trupów, niż do ludzi żyjących podobni.

Szczęściem, spostrzeżono ich tym razem.

Co się stało z łodzią, zawierającą resztę załogi, dotychczas nie wiadomo.

Jak się robi mydło?

Powiedział któryś z uczonych, że ten naród jest więcej rozwiniętym, który więcej mydła zużywa. Gdyby to było prawdą, to my musielibyśmy zaliczyć się do mniej rozwiniętych narodów. Rzeczy-

wiecie, prócz prania bielizny, która dziś nie obywa się bez mydła, mamy setki tysięcy ludzi, rzadko kiedy myjących się mydłem. A szkoda! Jestto bowiem wyborny materyał, który z obrzydliwego brudasa, robi człowieka czystego i porządnego.

Mydło znali już starożytni Rzymianie. Było ono bardzo podobne do dzisiejszego; mydło miękkie z popiołu, łoju i wapna, twarde z tych samych materyałów z dodatkiem soli. Z tychże materyałów wyrabiają mydlarze dotąd zwyczajne mydło domowe, do prania i mycia.

Oprócz tego mydło używa się przy wyrobie sukna materji jedwabnych, w farbiarstwie, drukowaniu perkali i t. d., a nadto znaczna ilość mydeł tualetowych znajduje odbyty w Japonji i w Chinach.

Mydło tworzy się przez połączenie jakiegobądź tłuszczu z potażem i sodą. Za tłuszcze służą wszystkie tłustości, zarówno zwierzęce, jak roślinne; wszakże w południowych krajach do wyrobu mydła częściej używają olejów, w północnych łoju. Ważniejszą jednak różnicę stanowi użycie do jego wyrobu potażu lub sody. Z potażu i tłuszczu otrzymuje się mydło miękkie, oraz tak zwane szare; z sody i tłuszczu mydło twarde.

Mydło twarde wyrabia się z łoju, oliwy palmowej, tłuszczów z wygotowania kości, tłustości wieprzowej, wołowej, z orzechów kokosowych, oliwy z drzewa oliwnego. Do zmydlenia używa się ług, to jest roztwór potażu lub sody w wodzie.

Potaż otrzymuje się z popiołu drzewnego przez ługowanie, to jest nalanie wodą i mieszanie, wskutek czego potaż rozpuszcza się w wodzie, woda zlewa się do innego naczynia, na dnie którego osadza się czystszy potaż.

Wyrób mydła. Głównym naczyniem mydlarza jest duży kocioł z lanego żelaza, u góry nieco szerszy niż u dołu. Górna część jego jest z drzewa jodłowego, lub obmurowana cementem; to zabezpiecza od wywoływania masy burzącej się podczas gotowania.

Gdy mydlarz chce zamienić na mydło tysiąc funtów łoju, to nalewa do kotła 500 kwart ługu potażowego, dodaje do niego powyższą ilość łoju, przykrywa pokrywą i gotuje przez pięć godzin, mieszając od czasu do czasu i wciąż dolewając ługu. Po zagotowaniu mydło jest jeszcze galaretowate, nieco przeźroczyste, to jest tworzy tak zwany klej mydlarski. Łój zamienił się już na mydło potażowe nietwarde; trzeba dodać do niego soli, w której skład wchodzi soda, ażeby ta ostatnia zastąpiła potaż i zamieniła ją na mydło sodowe. Zowie się to wysoleniem. Mydlarz wrzuca zatem do kotła taką ilość soli, ażeby na każde 100 funtów łoju przypadło jej 12 funtów, i podtrzymuje ogień, dopóki klej nie zgęstnieje i nie zamieni się na masę białą ziarnowatą, pod którą pływa ciecz przeźroczysta, tak zwany ług spodni. Ług spodni wypuszcza z kotła otworem dolnym, mydło przekłada do obok stojących chłodniejszych kadzi.

Po ostygnięciu mydło napowrót przenosi się do kotła i powtórnie gotuje z ługiem nieco silniejszym; a wtedy zamienia się

na klarowny klej, złożony z tłuszczu i sody, do którego dodaje się wciąż nieco ługu i znowu soli.

Przez gotowanie mydło zbija się coraz bardziej w jedną masę miękką, wypełnioną pęcherzykami, a gdy przestanie pienie się, poczyną wrzeć w całej masie i wydzielać pary, poczem znów wylewa się do kadzi dla ochłodzenia.

Po powtórnem przegotowaniu mydło przestaje się burzyć i zamienia na jednolitą masę, tłucze się drągiem żelaznym dopóki jest ciepłą. Gotowe mydło wkłada się do czworograniastych skrzynek z drzewa jodłowego, tak urządzonych, iż z łatwością rozebrać się dają. Krajanie mydła na kawałki odbywa się za pomocą drutu lub oddzielnych maszyn, poczem mydło ustawia się w stosy i suszy w miejscach wystawionych na przewiew powietrza.

Mydło toaletowe — delikatne, pachnące, wyrabiają z mydła zwyčajnego i zaprawiają różnemi olejkami. Tak powstają mydła miodowe, przeźroczyste, glicerynowe, fijołkowe, piżmowe i wszelkie mydła lekarskie.

Porada prawna.

Odpis podatku z powodu nieużytkowania budynku.

(Tak zwane »próżnostanie«).

Jeżeli budynek mieszkalny przez cały rok bez przerwy nie jest używany, ani na mieszkanie, ani na żaden inny cel (zwyčajne sprzęty mogą w budynku pozostawać), to właściciel może się domagać odpisania podatku za cały czas nieużywania budynku.

Aby uzyskać ten odpis, należy donieść o nieużywniu budynku do Starostwa w przeciągu dni 30-tu od chwili rozpoczęcia nieużywania budynku. Kto doniesie później, ten nie może uzyskać odpisu za czas miniony.

Doniesienie to należy sporządzić w następujący sposób:

Wzór prośby: (bez stempla).

C. k. Starostwo!

Ponieważ domu mego w gminie pod lsp położonego przestałem z dniem używać, przeto upraszam o zarządzenie we właściwym czasie odpisu podatku domowego z powodu próżnostania.

N. N. właściciel domu.

Podatek z powodu próżnostania budynku odpisuje się z dołu, a to za pierwszy rok dopiero po upływie całego roku i po stwierdzeniu, że dom rzeczywiście przez cały rok bez przerwy stał pustką, zaś na każdy następny kwartał, po upływie kwartału.

Gdy dom weźmie się napowrót w użytkowanie, należy o tem również Starostwu donieść w przeciągu dni 30-tu. Zaniedbanie takiego doniesienia, lub nieprawdziwe doniesienie o próżnostaniu podlega karze, wynoszącej dwukrotną kwotę podatku ukróconego.

Odpis z tytułu próżnostania rozciąga się zarówno na podatek państwowy, jak niemniej i na dodatki autonomiczne.

CUDOWNA HISTORIA

JOANNY DARK

Świętobliwej francuskiej dziewicy.

Na królewskim dworze.

Zdaje się, że przybywszy na wezwanie królewskie, Joanna powinna była zostać dopuszczoną przed oblicze pańskie. Niestety! znaleźli się ludzie, którzy pomimo bogobojności Joanny, posądzali ją o czary i uważali za niestosowne, aby król używał pomocy od istoty opętanej przez czarta. Zebrano więc biskupów, księży i uczonych, aby badali ją i orzekli prawdę.

Joanna odpowiadała z prostotą, nie chcąc, wdawać się w żadne objaśnienia, tylko wytrwale obstawała przy żądaniu widzenia się z królem.

Tymczasem lud tłumnie nawiedzał Joannę, a wieść o »cudownej pomocy« doszła do obleganych w nieszczęsnym Orleanie. Nakoniec też duchowni i świeccy przyznali, że w Joannie Dark żadnej nie mogą odnaleźć winy, zgodzono się więc, aby ją król wysłuchał.

Było to wieczorem; pięćdziesiąt pochodni oświecało obszerną salę, wielu znakomitych panów, około 300 rycerstwa tłoczyło się, aby poznać dziwną istotę, którą jedni mieli za wróżkę, drudzy za natchnioną. Przepychem i blaskiem królewskiego dworu chciano zmieszać Joannę, każdy przywdział odświętne stroje, król tylko skromnie ubrany, wmieszał się w tłum, jednego z potomków książąt orleańskich sadzając na swoim miejscu.

Joanna weszła do tej wspaniałej sali w pokorze urodzenia swego, jako uboga pasterka.

Gdy Orlean powitał ją jako król, Joanna spojrzała na niego wyniosłe i rzekła:

»Synu Orleana!

Doświadczasz Boga. — Nie to miejsce twoje!

Jam jest do tego wyższego posłana.«

Natychmiast odnalazła króla w tłumie i ugięła przed nim kolano. Zdumiony Karol wykrzyknął:

— »Zkąd mię znasz? pierwszy raz widzisz twarz moją.«

JOANNA.

Widziałam ciebie, gdy cię nikt prócz Boga,
Nie widział więcej — ponieważ przeszłe nocy,
Gdy wiatr trząsał domem, a rozpacz i trwoga
Walczyła w tobie z nadzieją pomocy:
Upadłeś krzyżem w pokorze ducha
Błagałeś Boga, a łez twych strumienie
Zlały podłogę. — Każ, niech nikt nie słucha,
A treść ci twojej modlitwy wymienię.

KRÓL.

Co zwierzam Bogu przed ludźmi nie kryję.
Wymień!

JOANNA.

Trojakie były twoje modły.
Najprzód: jeżeli dawne winy czyje,
Królów, czy ludu, na ten kraj przywiodły
Zgubną tę wojnę: — ty, gdy tego trzeba,
Oddać się za nie chciałeś na ofiarę,
I oto tylko błagałeś u Nieba,
By twej ojczyźnie odpuściło karę.«

— Kto? skąd ty jesteś? Istoto cudowna! — wykrzyknął prze-
rażony król, widząc swe myśli powtórzone przez Joannę i odtąd
uwierzył w posłannictwo dziewicy.

Joanna zaś nazywając go »ślicznym królewiczem«, gdyż nie
był jeszcze namaszczone na króla, tak mu dzieje swoje opowiadała:

»Zowią mię Joanną.

Ojciec mój z włości królewskiej Domremi,
Ubogi wieśniak, pracą bezustanną
Uprawia z Bogiem własny kawał ziemi.
A niedaleko od wrót naszej wioski,
Stoi na wzgórzu niewielka kaplica
A w niej cudowny obraz Matki Boskiej,
Gdzie trzykroć w roku cała okolica
Idzie pielgrzymką i składa ofiary.
A tuż naprzeciw rośnie dąb sędziwy,
O którym różnie, i młody, i stary,
A wszyscy różne powiadają dziwy.
Pod cieniem jego, nie pojmuję czemu,
Tak mi swobodnie, tak rozkosznie było,
Że serce gwałtem ciągnęło ku niemu.
I ile razy czasem się zdarzyło
Stracić gdzie w górach jagnię albo owcę:
Jak skoro przyszłam spocząć w jego cieniu,
Wnet mi sen, między najdziksze manowce,
Gdzie je mam znaleźć, wskazywał w widzeniu,
— Jednego razu, gdy późno w noc ciemną,
Siedząc tak pod nim, marzyłam na jawie,
Bogarodzica stanęła przedemną. —
Z chorągwią w ręku i z mieczem, lecz prawie
Z kształtu i stroju podobna pasterce,
I rzekła głosem, co mi poszedł w serce:
— »Jam jest, Joanno! — powstań, rzuć swą trzodę,
»Pan cię upatrzył za narzędzie cudu!
»Sztandar ten wzniesiesz za kraju swobodę,
»Mieczem tym pomścisz krzywdy twego ludu,
»Pokonasz wrogów i przez cię zbawioną,
»W Rejms króla twego uwieńczysz koroną!«

Ja wszakże rzekłam: »Cóż ja zdziałać mogę,
»Mała pasterka, bez sił do oręża?« —
A ona na to: — »Uspokój twą trwogę,
»W czystości serca jest moc, co zwycięża.
»Zresztą miej wiarę i idź prostą drogą. —
»Wszak i ja byłam pasterką ubogą!« —
To rzekłszy, dłonią dotknęła mych oczu,
I kiedy za nią spojrzałam do góry,
Ujrzałam w niebios błękitnem przeźroczu
Nieprzeliczone Serafinów chóry,
A każdy w ręku miał lilję białą,
— A dziwne echo na powietrzu brzmiało.
— Noc w noc trzy razy przed jutrenką ranną
Miałam toż samo Najświętszej widzenie.
Schodziła z niebios, wołając: — »Joanno!
»Idź, zbawżę Francję, spełń tve przeznaczenie.«
Lecz gdy raz trzeci stanęła przy drzewie,
Wzrok jej był groźny i rzekła mi w gniewie:
— »Wiedz, posłuszeństwo jest wyrok niewieści!
»Cierpieć tu musi i być sługą wszędzie.
»Ale się serce oczyszcza z boleści:
»Kto się tu korzy, tam podwyższon będzie!« —
I gdy ostatnie domawiała słowa,
Z ramion jej spadło pasterskie odzienie
I w caym blasku, jak Niebios królowa,
Stała przedemną: błyskawic promienie
Skoń jej wieńczyły i chociaż surowa,
Litośnie ku mnie zwróciła wejrzenie,
I na złocistym wzniesiona obłoku,
W krainie chwały znikła memu oku. —

Duch Joanny Dark był w silnej przewadze nad ciałem, umysł jej wciąż jedną przejętą myślą miał siłę przeczucia i odgadywania cudzych myśli. W modlitwie pełnej uniesienia traciła poczucie rzeczywistości i przed oczyma jej duszy przesuwały się cudowne widzenia; rozumiała głosy, których nikt nie mógł dosłyszeć.

Lecz nie w widzeniach i nie w przeczuciach leży jej wielkość i nadzwyczajność. To, co powinniśmy w niej najbardziej podziwiać, to jest niezwykły rozum, jasne zrozumienie trudnego położenia, w jakim Francja się znajdowała i to poświęcenie bez granic, nie znające ani trwogi, ani niebezpieczeństwa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krzywdy i nadużycia.

Jak niektórzy żandarmi urzędują. »W medycznych chałupkach pod Przemyślem zaszedł w nocy z 5 na 6 listopada wypadek, który należy napiętnować, jako dowód niesłychanego poniewierania galijskim chłopem. Około północy do chaty Mikołaja Chytry wpa-

dło kilku żandarmów w pościgu za jakimś skradzionym kozuchem. W domu zastano tylko żonę Chytry i kilkoro dzieci, mąż bowiem poszedł na nocną służbę do młyna. Zależniona kobieta przysięgała się na wszystko przed żandarmami, że w chałupie niema żadnego kozucha, że jej mąż nie jest złodziej i t. p. Przytem, jak to zwykle kobiety czynią, płakała. Na tłumaczenie i płacze Chytrowej, jeden z żandarmów zawołał: »Milcz psiakrew i dawaj klucze od skrzyń i komory, bo inaczej...« Chytrowa wydała klucze, a żandarmi rozpoczęli »urzędowanie«. Powyrzucano z komory i skrzyni zboże, słoninę i mięso, przewertowano dom cały, a nie znalazłszy, poszli sobie żandarmi dalej, zostawiając wszystko otworem. Przestraszona kobieta bała się opuścić izbę i czekała z dziećmi powrotu męża. Przez ten czas z pootwieranej komory i skrzyń poginęło mięso i zboże. Kozuch, którego szukali żandarmi, znaleziono zupełnie gdzieindziej, na drugim końcu wsi«. „Naprzód“.

„**Sądeczanie**“ donosi, że w kasie gminnej w Piwnicznej popełniono duże nadużycia, że z tego powodu prowadzi adjunkt dr. K. Bielawski na miejscu od kilku tygodni śledztwo przeciw burmistrzowi o zbrodnię sprzeniewierzenia i oszustwa.

Tyran. Z polecenia Wydziału krajowego i powiatowego wytoczyła zwierzchność gminna w Żywcu dochodzenie dyscyplinarne zasuspendowanemu inspektorowi tutejszej policyi, Andrzejowi Hylińskiemu, o oszustwo i sprzeniewierzenie. Hyliński, mając przez naczelnika gminy przydzielone ściąganie podatków drogowych, kar policyjnych, grzywien szkolnych i t. p., pobierał je od stron, lecz zamiast je oddawać do kasy miejskiej, przelewał je z całym spokojem i zupełnie spokojnie do... własnej kieszeni. Wychodzą także teraz na jaw straszne praktyki inkwizycyjne, jakich Hyliński w nieludzki sposób na więźniach się dopuszczał. Okropne tortury, jak przypalanie świecą stóp ludzkich, puszczanie scyzorykiem krwi z za paznokci, wieszanie u słupa, zamykanie w ciasne kajdany i szpangi, bicie i katowanie »żyłą« miały być codzienną, właściwie nocną (bo nocą przeważnie dzieł tych dokonywał) jego specjalnością. — Komisya miała sposobność oglądać »trofea« jego 7-letniej służby inspektorskiej pod postacią różnych ohydnych narzędzi, któremi ludzi katował. Dziwić się należy, że to wszystko tak długo bezkarnie uchodziło.

Biedny nasz lud. W lecie tego roku weszła do sklepu żyda Kleinbergera w Targowiskach niejaka Marya Jachowa po towar. Ponieważ żyda nie było, więc Anna Kleinberger »niby żona jego« poleciła jej, by się trochę zatrzymała. W tym czasie wychodząc żydówka po »potrzebie« na pole, prosiła Jachową, by uważała na dzieci, które były w przytykającej do sklepu izbie. Gdy żydówka po kilku minutach wróciła, wrócił i żyd i Jachowa, kupiwszy, co miała kupić poszła. Ale jakże się Jachowa zdziwiła, gdy ją żydówka posadziła o skradzenie pierścionka w czasie tych 10-ciu minut, jak była po »potrzebie«. Jachowa, kobieta i gospodyni porządna, zaskarżyła żydówkę o oszczerstwo. Na wyznaczoną godzinę na termin stawiała się Jachowa do Sądu. Czekają i czeka, ale jej jakoś do rozprawy nikt nie woła, tylko oskarżona

żydówka, która znacznie później przyszła, przystępuje do niej i powiada, by nie czekała gdyż już po sprawie, co też jej któryś z panów urzędników potwierdził, mówiąc »a nie stawiliście się na termin więc sprawa upadła«. Biedna kobiecina, nie wiedząc, jak się to stało, bo przecież tyle godzin czekała, poszła z niczem do domu. Po niejakiem czasie dostaje Jachowa wezwanie do Sądu o kradzież pierścionka żydówce Kleinbergerowej. Poszła znów do Sądu i tymrazem jakoś ją ujrzano i zawołano do sali sądowej. W czasie rozprawy dowiedziała się, że ją żydówka obwiniła o ukradzenie jej pierścionka, co też poświadczył mały żydek, że to widział. Napróżno tłumaczyła się Jachowa, że to kłamstwo, bo c. k. Sąd skazał Jachową na zapłacenie za pierścionek 6 złr. i 7 dni aresztu. Nie dziwimy się zupełnie Jachowej, że, czując się i będąc niewinną, uważa tak wyrok jak i Sąd za niesprawiedliwy. W tem przekonaniu utwierdza się Jachowa tem więcej, że, gdy ona skarżyła, to jej sprawa w jakiś niezrozumiały, zagadkowy sposób upadła, a gdy żydówka skarżyła, to i rozprawa była i zasądzenie nastąpiło. Dalecy jesteśmy od wdawania się w krytykę wyroków sądowych, jednak ośmielamy się wypowiedzieć nasze zdanie, iż byłoby do życzenia, aby władze nasze mniej polegały na zeznaniach żydów, zwłaszcza bez poprzedniego zaprzysiężenia, a więcej uwzględniały nieświadomość naszego biednego ludu, który skutkiem tej nieświadomości bardzo często cierpi niewinnie i w kryminałach siedzi za niepopelnione przekroczenia. Czy słusznie, nie twierdzimy, ale to faktem, że lud coraz bardziej traci zaufanie i wiarę w sprawiedliwość.

Kronika i rozmaitości.

Na pomnik dla Bartosza! Któż z Was włościanie nie wie, kto to był Bartosz Głowacki? To nasz brat z krwi i kości, to dziecko ziemi krakowskiej, to chłop krakowski, który na czele dzielnych „Krakusów“ zdobył na polach racławickich 12 armat na Moskalach i przez ten czyn bochaterski okrył wiekopomną sławą imie chłopskie. A czy Wam nieznana owa piosnka: „Bartoszu, Bartoszu, oj nietracćwa nadziei, Bóg pobłogosławi Ojczyznę nam zbawi“. Czyście tej piosnki już tylekrotnie z zapamiętaniem i nadzieją w lepszą przyszłość nie śpiewali? Otóż temu to Bartoszewi pragnie lud krakowski postawić pomnik w Krakowie, na który sobie przez swą miłość i poświęcenie dla Ojczyzny święcie zasłużył! Pomnik musi być piękny i odpowiadający zasługom i bochaterstwu Bartosza! Zewsząd posyła lud, co może, na ten pomnik, który ma głosić światu o poświęceniu i miłości ludu dla Ojczyzny. Dotąd jednak za mało wpłynęło grosza, dlatego komitet puka do serc Waszych Bracia włościanie a szczególnie do Rad powiatowych i gminnych, by pospieszyły z datkami. Już Rada powiatowa krak. uchwaliła na ten pomnik 2 tysiące koron. Rada gminna m. Skawiny 200 koron. Niechaj ten przykład zapali Wasze serca Bracia włościanie! Niech każda Rada gminna uchwali jakąś kwotę na pomnik dla Bartosza, bo ma do tego zupełne prawo. Niech każda Rada gminna

uważa to sobie za honor i obowiązek mieć w swych księgach zapisane, że brała udział i przyczyniła się do budowy pomnika bochatera chłopca. Bartosza Głowackiego! A więc do dzieła Bracia włościanie, byśmy się nie powstydzili. Niech się panowie dowiedzą, że i chłopci umia i potrafią uczcić zasługi chłopca, który życie i mienie złożył na ołtarzu Ojczyźnie.

Komitet w Bieńczycach.

Wszystkie pisma ludowe upraszamy o powtórzenie tego artykułiku.

Za późno! Na Węgrach w Agrun wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie niejaki Dobrin, urzędnik spółki dla handlu i przemysłu. Po śmierci jedyne dziecko ogarnęła go taka tęsknota i rozpacz, że sobie miejsca znaleźć nie mógł. Dnia 9-go grudnia napisał do żony, że na mogile dziecięcia położy kres swemu życiu, by się z nim, jak najprędzej połączył. Żona, przeczytawszy list, pojechała natychmiast na cmentarz. Już zdążyła zobaczyć bólem zgnębiętego męża, jak kłęcząc na grobie dziecka. Wysiadłszy z bryczki szybko pobiegła za bramy cmentarne, ale w tej chwili spostrzegła, że mąż przyłożył rewolwer do skroni, rozległ się strzał i nieszczęśliwy ojciec padł trupem na grobie dziecka. Biedna żona przybyła jednak za — późno.

Katastrofa w kopalni. W sobotę po południu w szybie „Fortschritt“, leżącym koło Osseg, a będącym własnością Towarzystwa górniczego w Mostach (Czechy), woda z piaskiem wdarła się do chodników i zalała je w oka mgnienia. W kopalni znajdowało się wówczas 50 robotników. Gdy woda z ogromnym hukiem zaczęła płynąć, wszyscy rzucili się do ucieczki. Wyjścia z szybu były zamknięte, górnicy więc w popłochu szukali ratunku w sąsiednim szybie „Alexander“, który zapomocą poprzecznej sztolni połączony jest z szybem „Fortschritt“. W przerażeniu porzucili uciekający swoje lampy bezpieczeństwa i pośród ciemności biegli na oślep. Jeden z górników, uderzywszy głową o wystającą przeszkodę, padł na miejscu, drugi, padając, odniósł ciężkie obrażenia wewnętrzne. Górnicy zabrali go z sobą i uratowali. Według niektórych doniesień jeszcze jeden górnik złamał nogę. Bezpośrednio po katastrofie brakowało 8 górników, którzy atoli do wieczora zdolali wyostać się z zalanego szybu. Praca około zatamowania wody wydała dobre rezultaty; inżynierowie sądzą, że za dwa tygodnie w szybie rozpocznie się na nowo normalne wydobywanie węgla. Górnicy opowiadają, że podczas ucieczki brnęli przez wodę, która im nieraz sięgała po ramiona.

Zamarznięcie w trumnie. W Oedenburgu 18-letnia córka jednego z kupców tamtejszych straciła podczas choroby przytomność. Lekarz stwierdził śmierć dziewczyny, poczem zwłoki jej złożono w trumnie na katafalku w pokoju nieopalonym. Dnia następnego przybyły dwie zakonnice dla spełnienia czynności przedpogrzebowych i spostrzegły, że zwłoki dziewczyny wcale nie stężały. Przywołany lekarz policyjny stwierdził, że dziewczyna, gdy ją do trumny układano, jeszcze żyła, ale podczas nocy zamarzła.

Nowe przekazy pocztowe. Dyrekcyja poczt ogłasza, że z dniem 1-go stycznia wchodzi w wyłączne użycie nakład nowych blankietów przekazowych i adresów przesyłkowych, połączonych z przekazami powziątkowymi. Dawne blankiety można wymieniać na nowe najpóźniej do dnia 15 stycznia 1903.

Wilgotne i stęchłe zboże można wysuszyć następującym sposobem: w środek zboża, zsypanego w kupy w śpichlerzu, wstawia się w koszach wapno niegaszone, a całą kupę przykrywa się płachtami. Wapno wyciąga ze zboża wilgoć, stęchlizna znika, a ziarno odzyskuje połysk.

Wynalazki Szczepanika. W lecie Szczepanik przedstawił carowi jeden z główniejszych swoich wynalazków, który cara nadzwyczajnie zainteresował.

Mowa tu o patronach tkackich wynalazku Szczepanika; 80 fabrykantów moskiewskich oświadczyło się za nabyciem wynalazku, który car nabyć kazał na koszt skarbu państwa. Szczepanik zażądał milion rubli, ile mu jednak zapłacono dokładnie nie wiemy. W Moskwie budują już fabrykę, która wyłącznie patроны tkackie Szczepanika wyrabiać będzie.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Śliwka. Serdecznie dziękujemy. Daj Boże zdrowie.

P. Glonek Jakób. Bóg zapłać. To dla dobra ludu. My wiemy, że tylu jest zaślepionych, co wolą się truć wódką, aniżeli dać parę koron na oświatę. A dzisiaj bez oświaty nic nie zrobimy.

P. J. Woźny Nr. 350. Prenumerata na rok 1903 zapłacona.

Władysław Łańcucki. Prenumeratę wysłaną przez pana zapisaliśmy dla brata Adama 4 kor. na r. 1903.

Na pomnik **Bartosza Głowackiego w Krakowie** Szanowni ofiarodawcy w dalszym ciągu złożyli: PP. Ignacy Wojciechowski kupiec z Krakowa 10 k., Jakób Bojko z Gręboszowa 1 k., Andrzej Wieczorek z Dojazdowa 3 k., Magistrat miasta Kęty 10 k., Pleśniarski z Frysztaku 5 k., a. k. Urzędnicy sekcji konserwacyi kolei w Rozwadowie 7 k., Knapiński 1 k., Zdzisław Zabawski 1 k., A. Wojtaszewicz 1 k., Józef Wyderka 20 h., J. Kochan 10 h., Jan Waś 1 k., Ignacy Kwiek 20 hal., Józef Jerzykowski 20 h., Ant. Leok 40 h., S. Betz 20 h., Mystek Rose 20 h.

C. d. n.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcyja żadnej odpowiedzialności.

Towarzystwo Wzajemnej pomocy obywatelskiej w Krakowie

udziela członkom pomocy prawnej, technicznej i finansowej, ułatwia nabycie gruntów w drodze parcelacyi przez spłatę długów i udzielanie nabywcom kredytu. Obecnie ma do pozbycia grunta w 2-ch majątkach położonych w pow. Krakowskim, w 2-ch w pow. Tarnowskim, 1-den w Nowo-Sądeckim i 1-den w Wielickim. Chętni kupna zechcą się zgłosić o informację do biura Towarzystwa w Krakowie ul. Piłarska L. 1. w godzinach między 4-tą a 6-tą popoł. w dnie powszednie.

15 1 3

Dyrekcya.

Kalendarze na rok 1903

Nadzwyczaj obfite w treść doborową, ozdobione pięknymi ilustracyami i obejmujące ogromny i znakomity dział humorystyczny są **kalendarze Fr. Friedla** a mianowicie:

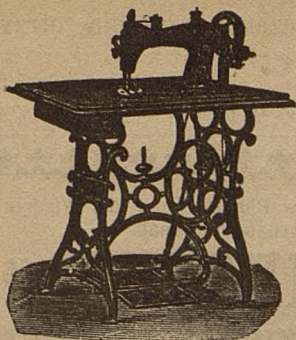
Posel ludowy 60 hal., Kalendarz rodzinny 1 Kor., Kalendarz robotniczy 1 Kor., Kalendarz polskiego żołnierza 1 Kor., Uniwersalny kalendarz polski 2 Kor.

Są to najlepsze kalendarze polskie, które w każdym domu polskim znajdować się powinny.

Zamawiający 6 egzemplarzy, otrzymuje 7-my za darmo.

Osoby zajmujące się rozprzedażą otrzymują znaczny rabat. Wysyłka następuje tylko za gotówkę.

FRANCISZEK FRIEDEL, wydawn. kalendarzy we Frysztacie, Śląsk. austr.



Największy skład Singera maszyn do szycia i haftu

R. PAWŁOWSKIEGO,

dawniej I. IWANICKIEGO

w Krakowie, Rynek Główny L. 18

poleca maszyny do szycia i haftu najnow-
szej konstrukcyi, odznaczające się zupełnie
cichym i lekkim chodem, dokładnem wykoń-
czeniem i nadzwyczajną trwałością.

**Nauka haftów i wszelkich robót maszy-
nowych bezpłatnie.**

Nie mając całych zgrai natrętnych agentów, mogą każdą maszynę
sprzedawać o 10 - 20 K taniej.

Cenniki rozsyła się darmo i opłatnie.

3 1 0

„Wyrób krajowy!”

Dziesiątki zamówień świadczą najlepiej, że

Proszek Holenderski

podawany, krowom, owcom i nierogaciźnie, **chroni je od
chorób, podnieca apetyt i tuczy je. Krowy dają więcej
mleka, z którego masło jest piękne, żółtego koloru.**

Paczka kosztuje tylko koronę. 10 paczek 10 kor. — wysyła się
opłatnie.

Unikać podobizn, pochodzących od Niemców!

2 1 0

Wysyłki skutecznie Apteka Mra far.

ST. SZCZEPAŃSKIEGO w Zabłociu przy Żywcu.

Epifania — Obrazek sceniczny

BOŻEGO NARODZENIA,

chwytający za serce każdego chrześcijanina — prawdziwa ośłoda
w zimowych wieczorach na wsi jest do nabycia

u ks. Fr. Skatuby w Buczaczu

po cenie **1 Kor. 5 h.** z przesyłką.

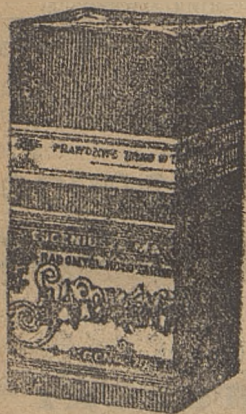
1 1 3

Dla analfabetów-samouków

Elementarz z obrazkami do łatwego wyuczenia czytania otrzyma,
kto nadeśle **33 ct.**

do **J. Kaszyckiego w Grzegórkach** pod Krakowem.

Najwyższe odznaczenie na wystawach światowych w Paryżu, Londynie, Wiedniu
i Marsylii, dyplomy honorowe i złote medale otrzymał



„SAPOMENTHOL“

wyrobu **EUGENIUSZA MATULI**

aptekarza w Radomyślu koło Tarnowa (Galicya).
Maść ta znana od lat wielu ze swej skuteczności używana bywa przez P. P. Lekarzy przeciwko cierpieniom reumatycznym, gościowym, suchym bólow i pokrewnym.

Cena za mały słoik 1 kor. 40 hal., za duży 5 koron. Po otrzymaniu należytości lub za zaliczką wysyła dwa razy dziennie wprost: Apteka i Laboratorium chem. farmaceut. Eugeniusza Matuli, Radomyśl koło Tarnowa (Galicya), gdzie też zamówienia przysyłać należy.

Przesyłając pieniądze, dołączyć należy 72 h. na przekaz i opłatę pocztową.

Żądać wyraźnie: SAPOMENTHOL wyrobu EUGENIUSZA MATULI i przyjmować tylko oryginalny w opakowaniu, jak obok rysunek. Ostrzega się przed naśladownictwami. Nazwa, opakowanie i marka ochronna prawnie zastrzeżona.

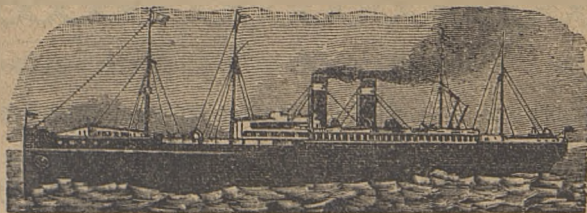
Przez Wysokie c. k. Namiestnictwo

KONCESYONOWANE

BIURO PODRÓŻY I SPEDYCYJNE

ZOFII BIESIADECKIEJ, OŚWIECIM, DWORZEC.

sprzedaje
bilety kolejowe
okrężne



karty okrętowe
I-szej i
II-giej klasy

oraz karty międzypokładowe dla
wychodźców do Ameryki. Ceny najniższe. Wymiana picinędzy.
Prospekta darmo i opłatnie.

Wydawcy i właściciele: Ks. Andrzej Szpotański i Dr Michał Danielak. — Redaktor
odpowiedzialny: Władysław Jaśko.

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.